

MAGAZYN OPINII

# Pismo.

GRUDZIEŃ 2023 | NR 12 (72)

PORTRET

Jak nie kochać  
Toma Hanksa?

STUDIUM

Springer  
pyta o granice  
komfortu

REPORTAŻ

Mężczyźni  
bez kobiet

ROZMOWA

Jak trwoga  
to do  
sióstr

PROZA

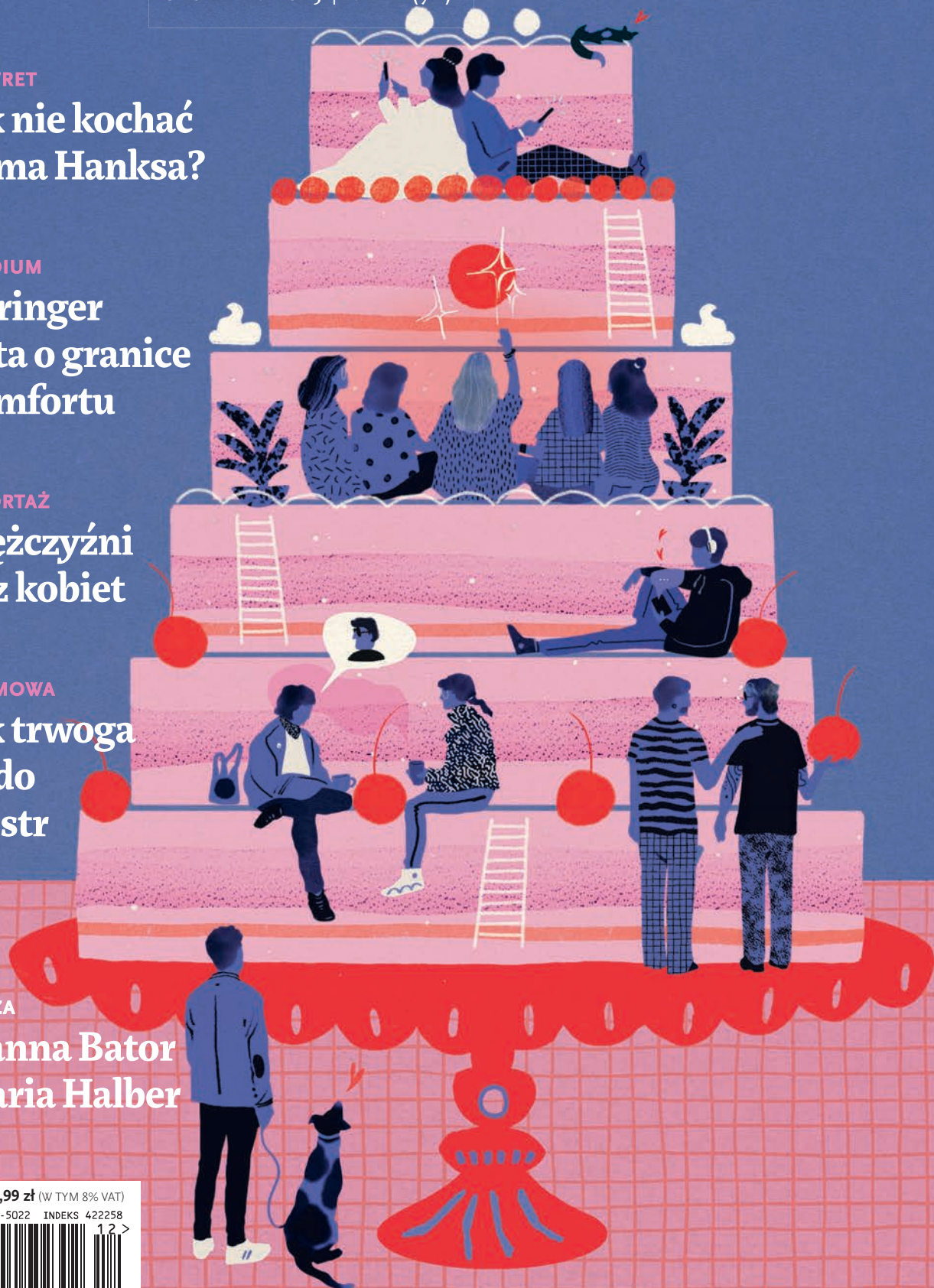
Joanna Bator  
Maria Halber

CENA: 18,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258



9 772544 502302



MAGAZYN OPINII

# Pismo.

GRUDZIEŃ 2023 | NR 12 (72)

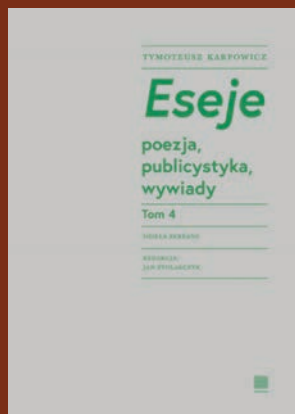


# Wydawnictwo Warstwy poleca

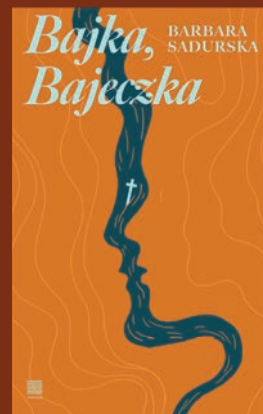
www.wydawnictwowarstwy.pl



*Pisanie jest tylko dodatkiem.*  
*Korespondencja 1946–2011*  
Anna i Mieczysław Porębscy,  
Wiesława i Tadeusz Różewiczowie



*Eseje, poezja, publicystyka,*  
*wywiady (Tom 4)*  
Tymoteusz Karpowicz



*Bajka, Bajeczka*  
Barbara Sadurska



Ministerstwo Kultury  
Dziedzictwa Narodowego

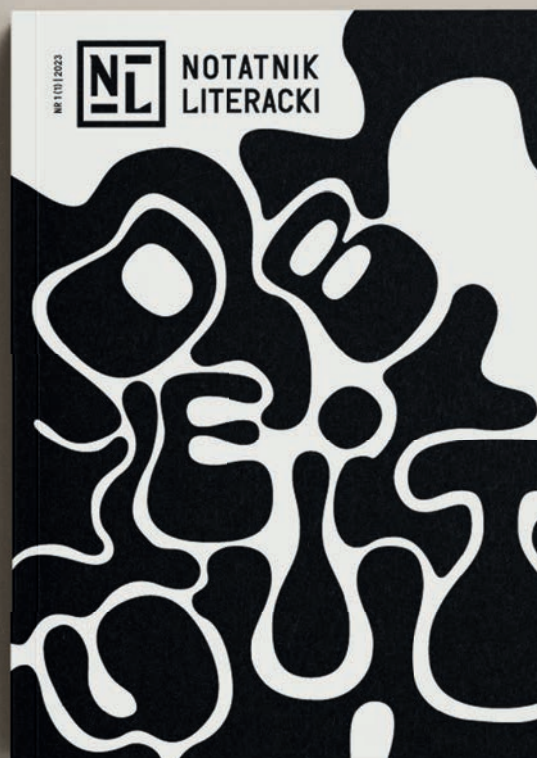
DEBIUT



## NOTATNIKA LITERACKIEGO


pismo – serwis – literatura

Wejdź na


[www.notatnikliteracki.pl](http://www.notatnikliteracki.pl)



 notatnikliteracki  
 notatnik\_literacki

 NOTATNIK  
LITERACKI

Wrocław  
miasto spotkań

 Wrocławski  
Dom Literatury

 Wrocław  
Miasto  
Literatury  
UNESCO

# MAGAZYN OPINII Pismo.

GRUDZIEŃ 2023

## PROZA

**Ręce zegarmistrza** | 6  
JOANNA BATOR

**Strużki** | 90  
MARIA HALBER

## POEZJA

**wulkan** | 11  
AGŁAJA JANCZAK

**Dwadzieścia siedem (dla G.S.)** | 23  
TOMASZ RÓŻYCKI

## OBRAZ

W KADRZE | 4  
SÉVERINE SAJOUS

FOTOREPORTAŻ **Mądrość ludzi wygnanych z lasu** | 44  
ANNA ALBOTH, THOMAS ALBOTH

KOMIKS **Dolina obfitości** | 74  
ANNA KRZTOŃ

W RAMACH PISMA **Adios Cuatro** | 88  
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA O DALTONIE GACIE

MINIATURY | 30  
ALEKSANDRA HERZYK

OKŁADKA **Miał być ślub**  
MAGDALENA PANKIEWICZ

## FELIETON

2 | ROZMOWY Z K. **Korpomoloch: dramat w jednym akcie**  
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelnika

96 | **À propos relacji nieromantycznych**  
ZUZANNA KOWALCZYK

## APTECZKA

95 | **Co w niej trzyma...**  
CALEB AZUMAH NELSON, pyta MATEUSZ ROESLER

## ROZMOWA

12 | **Jak trwoga, to do sióstr**  
Rozmawiamy z SANDRĄ FRYDRYSIAK i MARTĄ MAJCHRZAK

## REPORTAŻ

24 | **Kawaler nie do wzięcia**  
KATARZYNA KAZIMIEROWSKA sprawdza, czy mężczyznom pasuje życie singla

64 | **Po cichu, w białych rękawiczkach**  
KATARZYNA MALAROWSKA tłumaczy, dlaczego w Egipcie wciąż okalecza się kobiety

## STUDIUM

36 | **Wygodnie albo zdrowo**  
FILIP SPRINGER bada, czy architektura może poprawić nam jakość życia

## PORTRET

54 | **Jak Tom Hanks został Tomem Hanksem**  
CHRIS HEATH rozmawia z najsympatyczniejszym aktorem Hollywood

## ESEJ NAUKA

80 | **Placebo (naj)lepsze na depresję**  
PAWEŁ KICMAN wyjaśnia, jak działa to, co nie ma prawa działać

MAGAZYN OPINII  
**Pismo.**

Wydawca: Fundacja Pismo  
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,  
00-033 Warszawa  
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz  
Członkinie Zarządu:  
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,  
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Redaktorki prowadzące: Katarzyna Kazimierowska (sekretarstwo redakcji),  
Zuzanna Kowalczyk, Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, Felieton: Karolina Lewestam,  
Redakcja: Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Korekta: Ewa Bargiel, Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,  
Wydanie cyfrowe i audio: Barbara Sowa, Ewa Pluta, Iga Gromska, Karolina Wasiczek  
Projekt makiety: Jacek Utko, Dyrekcja Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz, Skład i łamanie: Marta Juchnowicz-Bierbasz,  
Marketing: Mateusz Roesler, Promocja: Ewa Salamon, Fundraising: Inez Jaworska  
E-commerce: Anna Ostrowska, Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec

Pismo. Magazyn opinii  
www.magazynpismo.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.  
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.



**KAROLINA LEWESTAM** (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

Droga K.

Nie dostałem awansu (...) Wiem, ludzie mają gorzej, było ich jedenaścioro i spali w jeziorze, ale ten tekst będzie o moim doświadczeniu z korpo.

Czasami myślę, że jestem bezwartościowy. Nie zrozum mnie źle, nie jako człowiek *per se*, bo nawet siebie lubię, tylko człowiek osadzony w kapitalistycznym kontekście. Pracuję w korpośrodku od kilku lat i nie mogę się wydostać z posady dla początkujących. Zanim zapłoną pochodnie, widły pójdą w ruch i rozszczeniwość, wiedz, że serio staram się w swojej pracy.

Natomiast do korpokultury mam spory dystans. Nie ekscytuje mnie karaoke przez kamerkę, nie potrafię sprzedać duszy za owocowe środy. Traktuję tę pracę jako źródło dochodu. Być może właśnie przez takie podejście brakuje mi *it factor*. Nie napędza mnie korporacyjny *drive*, mam niewiele *strategies* w głowie, przez co chyba wykazuję za mało *initiative*. Nie śnię o byciu CEO.

To czego właściwie chcę? Ano, po prostu zostać docenionym za to, co robię. Chciałbym poczuć, że to ma znaczenie i żeby przymknąć oko na wymyślanie projektów, których celem jest tylko to, żeby zostały wymyślone.

A może rzucić to w cholere, bo najzwyczajniej nie umiem w korpo? Tylko kiedy tak trudno jest zrezygnować i zapuścić się w nieznane.

Z pozdrowieniami  
Korpoludek

# Korpomoloch: dramat w jednym akcie

*Na scenie gabinet; za biurkiem K., na krześle Korpoludek.*

KORPOLUDEK

No ale powiedz mi, czy ja jestem bezwartościowy?

K.

Korpoludku, ależ oczywiście, że jesteś bezwartościowy. Nie całkowicie, nie przesadzajmy, jakąś wartość może masz, ale na pewno znikomą. Całą resztę pożarł MOLOCH. *(złowieszcza muzyka, na scenę wbiega chór przerażających, obdartych i głodnych zjaw).*

CHÓR ZJAW

Moloch, którego umysł to czysta maszynieria! Moloch, którego krew to strumienie monet! Moloch, którego palce to dziesiątki wojsk! Moloch, którego pierś to ludożercze dynamo! Moloch, którego ucho to dymiący grób!

K.

*(Próbuje uspokoić zjawy, krzycząc do nich „Wyluzujcie z tym Ginsbergiem”, a one w końcu milkną i przyczajają się w różnych miejscach sceny).*

Bo widzisz, to jest tak: gdybyś żył kilka wieków temu w niewielkiej wsi i zabrakłoby wody, to Ty i Twój kolega poszlibyście może wykopać nowe źródło. A kiedy spod ziemi wybiłaby woda, byłbyś szczęśliwy i spełniony. Wykonałeś prawdziwą pracę! No i pomogłeś ludziom. Wszyscy klepią Cię po plecach i mówią: „Patrzcie na Korpoludka, wykopał źródło!”. A teraz... teraz zamiast tego robisz prezentację w PowerPoincie na temat efektywności narzędzia typu łopata dla nawodnienia okolicznej ludności. Prezentację ocenia komitet menedżerski, który prosi Cię o poprawki, a kiedy je wprowadzasz, okazuje się, że ocenia je negatywnie i sugeruje zmiany, które doprowadzają dokument do jego postaci pierwotnej. Potem następuje autorsing łopaty wraz z operatorem; jesteś już odsunięty od projektu, ale potem znów do niego trafiasz, tylko to już jest zupełnie inny projekt i teraz jesteś odpowiedzialny za nasad wrzosu wokół dziury. A jeśli jakimś zrzędzeniem łaskawego losu z dołu w końcu wybije źródło, to nie jest to bynajmniej Twoja zasługa, bo przecież Ty jesteś tym gościem, co zrobił ten durny błąd w prezentacji. Byłeś potrzebny? Może trochę. Ale nie jako Ty, tylko jako ktoś. System zasysa energię, z czego tylko może, a potem wymyka się nam spod kontroli. Tak właśnie działa Moloch.

CHÓR ZJAW

Moloch, którego miłość to bezmiar ropy i kamienia! Moloch, którego dusza to prąd elektryczny i banki! Moloch, którego nędza jest upiorem geniusza!

K.

Cicho, zjawy! I widzisz, Korpoludku, naszym mózgom wciąż się wydaje, że żyjemy w tamtej wsi, w której rozumiemy swoją pracę i zdobywamy dzięki niej szacunek. Ale wsi już nie ma, a może nigdy jej nie było. Żyjemy w tajemniczych fabrykach. Nikt nie rozumie do końca, co robi i dlaczego. Kto tu może odnieść sukces? Są horoskopy i zaklęcia: trzeba mieć *drive*, trzeba być *proactive*, trzeba wykazać *initiative*. Moloch nie kocha, ale wymaga, byśmy go kochal.

## CHÓR ZJAW

Moloch, którego tajną bronią są owocowe środy! Moloch, którego ciało to rany w kształcie drabin Excela! Moloch, którego wieczność to spotkanie, które mogło być meilem! Moloch, którego zółć to cierpienie uczestnika obowiązkowych *teambuildingowych* kręgli!

K.

*(Patrzy zdziwiona na zjawy).*

To też Ginsberg napisał? No mniejsza. Także tak, Korpolutku, z punktu widzenia Molocha jesteś bezwartościowa. Ja też jestem bezwartościowa; pan, pani, wszyscy jesteśmy, nawet ten CEO w lamborghini. Przydajemy się wyłącznie jako baterie w Matrixie.

## KORPOLUDEK

To co mam zrobić? Ołać awans? Wypisać się? Jechać w Bieszczady?

K.

*(Przestraszona).*

Nie! Moloch nie ma krwi, ale automatycznie odrzuca nas jak zły przeszczep, kiedy nie chcemy piąć się ku jego szczytom! Zostań. Pracuj, jak umiesz najlepiej. Po prostu pamiętaj, że w korpo raczej nie znajdziesz sensu i kropka. Sens tylko w związkach z innymi ludźmi. Poznaj kogoś. Załóż rodzinę. Spotykaj przyjaciół. Karm tego Molocha, ale nie całą swoją siłą witalną! Zamiast siedmiu horokruksów tylko jeden horokruks z banana!

## KORPOLUDEK

*(Wstaje, rozczarowany).*

No dobra. Wracam na coroczne spotkanie podsumowujące proces wyboru strategii procesowej. A od tych rad tylko mi się gorzej zrobiło.

K.

Poczekaj jeszcze... bo widzisz, tak czytam ten Twój list i on jest... no, co tu dużo mówić, dobrze napisany po prostu. Giętka metafora, celne porównania... A może ty byś jednak... może, no wiesz... jakiś zawód kreatywny przedsięwziął? Pisał coś na przykład?

## KORPOLUDEK

*(Z nadzieją).*

Myślisz, że bym mógł? O kurczę! Może to jest to! I sądzisz, że dałbym sobie radę w wolnym zawodzie? Ze zamiast jarzeniowej, czekałaby mnie świetlana przyszłość?

K.

*(Nico zawstydzona).*

Taa... pewnie mógłbyś pisać. I to całkiem fajnie. Ale... widzisz te obdarte i głodne zjawy, skandujące poezję antykapitalistyczną? To nie zjawy, to właśnie dziennikarze, autorzy, pisarze... Oprócz Remigiusza Mroza, bo Moloch to zasadniczo właśnie Mróz.

*Korpolutek patrzy na zjawy, które podbiegają do niego, prosząc o pieniądze; kręci głową, odwraca się na pięcie i biegnie w stronę szklanego wieżowca. Kurtyna.*

—  
Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. [rozmowyzk@magazynpismo.pl](mailto:rozmowyzk@magazynpismo.pl)





W KADRZE

SÉVERINE SAJOUS | *Maria, the love story (Maria, historia miłosna)* | 2019–2020

Dostosowując się do nowego kontekstu społecznego ostatnich dziesięcioleci, klasyczna idea rodziny (rodzice i dzieci oraz wielopokoleniowe domy) jako instytucji ulega modyfikacji. Podobnie jak wielu innych młodych, samotnych rodziców, Séverine polega na wsparciu przyjaciół i sąsiadów. Polityka „otwartych drzwi” pozwala na tworzenie nowych i różnych ram rodzinnych, które dostosowują się bezpośrednio do potrzeb i okoliczności. W tej serii autorka przygląda się jednej z takich relacji: jej córki Zeltie i sąsiadki Marii, 76-letniej wdowy.



selected by

**EUROPEAN  
IMAGES**

Projekt EUROPEAN IMAGES realizowany przez n-ost, Kajet, Ramina Mazura i Pismo.



# Ręce zegarmistrza

tekst JOANNA BATOR

—

**T**o był impuls. W osiedlowym sklepie zemdlała jakaś staruszka, a może umarła, i zrobiło się zamieszanie. Akurat pochylałem się nad lodówką, żeby jeszcze raz sprawdzić cenę, i po prostu wsunąłem tackę z mięsem za pazuchę. Mimo podeszłego wieku miałem bardzo sprawne ręce. Kiedy stałem z chlebem i twarogiem przy kasie, pocilem się ze strachu, a serce waliło mi tak głośno, że wszyscy by je usłyszeli, gdyby nie sygnał karetki. Pod ubraniem miałem gulasz wołowy w promocji. Zanim doszedłem do domu, zrobił się ciepły od mojego ciała, tak jakby krowę zarżnięto przed chwilą. Patrzyłem na mięso leżące w mojej mało używanej kuchni i nie mogłem uwierzyć, że naprawdę to zrobiłem. Poczułem coś w rodzaju złośliwej satysfakcji, która prawie zagłuszyła poczucie winy i wstydu, a nawet wciąż żywy strach usztywniający mi kark. Kiedyś miałem oszczędności, niewielkie, ale miałem, i uwierzyłem takim jednym, że będą bezpieczniejsze niż w banku, potrójone, proszę pana, zero ryzyka, ale przepadły i szukaj wiatru w polu. „No to teraz macie, kurwa, sprawiedliwość” – mamrotałem pod nosem, nakładając mięso do miski. Tak to się zaczęło i nie złapali mnie do tej pory. Brałem tylko to, co lubi, mięso i masło. Prawdziwe masło bez dodatków. Za pazuchę, do kieszeni, które specjalnie powiększyłem, a także pod czapkę.

Ściągałem ją w markecie i wrzucałem do koszyka. Chowałem do niej kurczaka albo łopatkę zapakowaną w folię, dyskretnie zdzieralem kod kreskowy, a potem razem z towarem wkładałem czapkę na głowę i szedłem do kasy. Raz nie zauważyłem, że opakowanie było nieszczelne, i dopiero płacąc, poczułem, jak mięsny sok spływa mi po czole. Ale oprócz tego, że kasjerka spojrzała na mnie z obrzydzeniem, nic się nie stało. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Starszy pan, niepozorny przez całe życie, a teraz nawet bardziej, prawie niewidoczny pod szarą narciarską czapką. W wiekowym palcie z kieszeniami jak kangurze torby.

On zwrócił na mnie uwagę, ale w sumie nie miał wyjścia. Wtedy jeszcze pracowałem, dorabiając do emerytury. Fucha wiązała się nierozzerwalnie z posiadaniem samochodu, który tego właśnie dnia ostatecznie padł i potem nie mogłem już wyprawiać się o świcie na giełdę po warzywa dla dwóch osiedlowych zieleniaków. I nagle miałem o 300 złotych na miesiąc mniej, a te 300 złotych pozwalało mi przeżyć od dwudziestego każdego miesiąca do pierwszego następnego. Skromnie, ale biednie, jak to się dziś mówi. Tamtego dnia wracałem piechotą w jesiennej mgle tak gęstej, jakby ktoś dmuchał mi w twarz zimnym dymem. Przemokły mi stare pantofle na cienkiej podeszwie, dobre do prowadzenia auta, ale nie na wędrowki poboczem,

i ciężka nasiąknięta wodą jesionka, uszyta na miarę trzy dekady temu w zakładzie, którego od dawna nie ma. „Ta jesionka nas obu przeżyje” – śmiał się krawiec, i pewnie tak będzie, bo jego już przeżyła. Zachciało mi się sikać i wszedłem między drzewa, oddalając się od drogi bardziej, niż to konieczne. Sikanie zajmuje mi już więcej czasu niż kiedyś, a to dość krępujące. Mocz kapał, ciurkał, przestawał i znów zaczynał. Po bocznej drodze, którą tu zaszedłem, rzadko coś jeździło, ale z daleka akurat zbliżał się jakiś pojazd i na domiar złego zatrzymał się nieopodal. Schowany za drzewem usłyszałem pisk opon i trzaśnięcie drzwi samochodu, przekleństwa, skowyt zwierzęcia, szamotaninę jakąś, a po dłuższej chwili pojazd ruszył. Towarzystwo mu szczekanie psa, które nie umilkło, choć nie słyszałem już ani człowieka, ani silnika. Przerażone szczekanie, jakby pytające „Hau. Hau? Hauuu?” przybliżyło się niebezpiecznie, gdy ruszyłem drogą w kierunku przystanku.

Ktoś go przywiązał do drzewa, a on, próbując się uwolnić, zdążył już opłatać je sznurkiem tak, że przywarł bokiem do wilgotnego pnia. Był ogromny, ale wychudzony, jego płowa sierść, zaniedbana i brudna, zwiślała w grubych dreadach. Miał czarną kufę, jakby lwia grzywę i smutne, przekrwione oczy, z których ciekła ropa. Chyba nie mógł się zdecydować, czy na mój widok zawarczeć,



czy ziewnąć i jego ogromny pysk zamarł w czymś w rodzaju upiornego uśmiechu. Zobaczyłem niekompletne, żółte zęby jak moje i albo w swoim psim życiu ten wielkolud też zbliżał się do końca drogi, albo los go nie rozpieszczał. A może jedno i drugie. Ja przynajmniej miałem wybór, gdy dentysta zapytał: „Leczymy za jakieś tysiąc pięćset czy rwiemy za jedną trzecią tej sumy?”. Rwaliśmy. Pies skulił się, gdy podszedłem na wyciągnięcie dłoni. Powiedziałem coś głupiego, co ludzie zwykle mówią do psów przywiązanych do drzewa w lesie. A może „wszystko będzie dobrze” mówiłem do siebie. „Już, już, wszystko będzie dobrze” – powtórzyłem, bo nie miałem pojęcia, co robić. Nie znałem w życiu wielu psów, nigdy żadnego nie miałem. W moim bloku przy ulicy Meander wielu lokatorów trzymało pieski, ale nie zwracałem na nie specjalnej uwagi. Żaden nie był jednak tak wielki. Wyciągnąłem do niego dłoń i zdziwiła mnie nieprzyjemnie jej drobna i pomarszczona natura, jakbym nie miał siedemdziesięciu pięciu lat, by się przyzwyczaić do faktu, że mam delikatne ręce zegarmistrza, zdatne do zawodu, który już prawie nikomu nie jest potrzebny. Pies powąchał mnie, poczułem jego gorący nos. Skądś pamiętałem, że nie powinien być tak rozgrzany. Cały pies parował w zimnym powietrzu i straszliwie śmierdział. Powąchał jeszcze raz moją małą rękę, zaskomlał i kichnął. Nie zareagował ani agresją, ani radością, że go odwiązałem, po prostu stał tam pokonany i cichy. On na końcu sznura, ja na jego początku. Albo odwrotnie. Może pies doszedł do wniosku, że facecik metr sześćdziesiąt sześć nie zrobi mu nic złego, choć chyba i niczego dobrego nie oczekiwał. Na szyi miał zbyt ciasną, metalową obręcz, która poraniła mu skórę. Gdy się przesunęła, zobaczyłem jątrzącą się, krwawą pręgę, jakby ktoś mu odciął łeb i byle jak doszył z powrotem. Żelazo spięto dwiema śrubami, których nie miałem jak rozkręcić na miejscu. A chęć zdjęcia tej duszącej obręczy z poharatanego karku zwierzęcia opanowała mnie z absurdalną mocą. Jakbym sam miał podobną na sobie, dławiącą, ciasną obręcz i nagle zdał sobie sprawę, dlaczego brakuje mi tchu. Kiedy mu to zdejmę, wszystko będzie dobrze. Niby nic nie miałem, lekko zadłużone dwa popoje w bloku, minimalną emeryturę, cztery

zegarki, jeszcze po ojcu, na czarną godzinę, plus ten na przegubie, dwa groby na cmentarzu, słabe płuca i te ręce wcześniaka, ale dysponowałem narzędziami, którymi da się zdjąć metalową obręcz z karku psa. Skrzyneczka z obcęgami, kluczami i śrubokrętami spoczywała w pawlaczu, gdzie upchnąłem też zawinięte w wiekowe ręczniki kryształ, których nie chciano w lombardzie, brzydki obraz ze skóry i sztucznych kwiatów otrzymany kiedyś w prezencie i moje stare podręczniki, jeszcze z liceum zegarmistrzowskiego, których wciąż nie potrafiłem wyrzucić. W jednej z książek było podziękowanie za naprawę zegara na Zamku Królewskim, „bohaterska postawa obywatela”, tak napisano, choć nie wymagało to żadnego bohaterstwa, tylko skupienia i precyzji. „Wszystko będzie dobrze” – powtórzyłem, a zwierzę spojrzało na mnie przez moment swoimi chorymi oczami. Były prawie czarne, tęczyówki nieodróżnialne od źrenic. Ogarnęło mnie nerwowe podniecenie, osobliwa chęć działania przemieszana z równie wielkim lękiem, choć do tego ostatniego już się przyzwyczaiłem, towarzyszył mi na co dzień. Lęk, że mnie eksmitują, że zapomnę kupić raphacholin, że kupię, ale znów źle wymówię nazwę i aptekarka mnie poprawi, że „ra-fa-cholin”, lęk, że się poślizgnę i połamię, uderzę w głowę i zostanę starym warzywem, lęk, że umrę i się rozłożę, zasmradzając cały budynek, jak pisali w „Fakcie” o innym staruszku w innym mieście, ale to mógłbym być ja. Tymczasem nie umarłem, a w dniu, w którym straciłem samochód i pracę, zyskałem psa.

Poszedł ze mną ze zwieszonym łbem, wielki, cuchnący i zrezygnowany. Gdy dotarliśmy do przystanku, okazało się, że uciekł nam autobus, a do następnego mieliśmy prawie dwie godziny czekania. Gdy przygnębiony usiadłem na wilgotnej ławce, pies przycupnął koło mnie. Podrapał się za uchem, próbując dosięgnąć ropiejącej rany pod metalową obręczą, co wyszło mu tak niezgrabnie, że przewrócił się na bok. I tak już został, dysząc ciężko z przymkniętymi oczami. „Zaraz będziemy w domu” – powiedziałem, gdy autobus pojawił się na horyzoncie, ale nie wpuszczono mnie do niego z psem. Nie ma kagańca, nie ma jazdy, takie przepisy, ale chodziło chyba bardziej o ogólne

nieprzyjemne wrażenie, jakie sprawialiśmy. Patrzyłem na tył znikającego autobusu i rosła we mnie osobliwa determinacja, której nie odczuwałem od dawna. W ostatnich latach starałem się po prostu jakoś przeżyć, sprzedając kolejne zegarki z kolekcji gromadzonej przez lata i ograniczając wydatki, ale teraz ogarnął mnie gniew na zepsutą dwudziestoletnią kodę, moje małe ręce, na nieczłowieka, który przywiązał w lesie psa na pewną śmierć, na ten autobus, na wszystkich winnych tego, że ja nie miałem pieniędzy na życie, a ten pies życia.

Dotarcie pieszo na Ursynów zajęło nam prawie trzy godziny. Po drodze zatrzymaliśmy się przy sklepie spożywczym, jakich już nie zostało wiele. Pamiętałem go z podróży autem na giełdę i choć nigdy przedtem w nim nie byłem, zawsze budził we mnie jakiś rodzaj tęsknoty za tym, co się skończyło. Odrapany szyld, spleśniały róż fasady i kraty w oknach, mydło i powidło, proszki obok chleba. Kupiłem smutnemu psu puszkę z wesołym psem na etykiecie, pożarł jej zawartość na dwa kłapnięcia pyska, napiliśmy się wody. Dotarliśmy na ulicę Meander po południu, gdy młodzi ludzie wracali z pracy, a emeryci jak ja siedzieli w domach, zmęczeni porannymi zakupami, wiadomościami i czekaniem na śmierć, która zawsze bliższa wydaje się wieczorem. Przyjaźniejsza. Ta poranna, pochylająca się nad na wpół wybudzonym ciałem, napełnia trwogą. Podobnie jak pies byłem zmęczony i jednocześnie napięty jak sprężyna. Ta obręcz, musiałem ją zdjąć, przez całą drogę metal z szyi psa wbijał się w moje ciało i aż urwałem guzik od koszuli, szarpiąc ją co rusz, bo nagle ten stary flanelowy łach zaczął mnie dusić.

Okazało się jednak, że pies nie chce wejść do bramy. Usiadł i zaparł się, że nie. Kiedy próbowałem go przekonać, odwracał głowę i ziewał, pokazując spustoszenie w swoim wielkim pysku. Mijali nas sąsiedzi, których znałem od pół wieku, i ci nowi, nieodróżnialni młodzi ludzie, którzy mieszkali chwilę i znikali, zastąpieni innymi podobnymi. „Co to za pies, panie Kaziu?” „Skąd pan wziął to bydło?” „I co pan z nim zrobi?” „Jak ma na imię?” Tego chłopaka kojarzyłem. Był niewielki jak ja, ale muskularny i wytatuowany. Nawet na szyi miał te maziaje. Myślałem: chłopak, bo chociaż był pewnie po

czterdzieści, miał w sobie wciąż rozbrajającą młodość i energię. Ja w jego wieku byłem starym dziadem, a na pewno starym kawalerem. Chodził zawsze z małą, żółtą suczką na krzywych łapach, która teraz podeszła do mojego psa, machając ogonem z taką śmiałością, jakby jego stan i wielkość nie zrobiły na niej wrażenia. „Mój pies” – pomyślałem i przestraszyłem się. Mój? „Jak ma na imię?” – powtórzył chłopak. „Omega” – przyszło mi do głowy bez zastanowienia. Lubiełem omegi, porządne zegarki, które przechodziły z pokolenia na pokolenie jak mój, prezent na komunię. „Omega” – chłopak uśmiechnął się, a jego maleńkie zwierzę, żółte jak kwiat mlecza, skakało radośnie wokół mojego nieruchomego i zmęczonego. „Piękny pies!” – zachwycił się wytatuowany, a ja poczułem zdziwienie i coś jakby załzątek dumy. „Wchodzą państwo?” – otworzył bramę, przez którą najpierw wbiegła jego suczka, a wtedy Omega, ku mojemu zaskoczeniu, dźwignął zad, przeciągnął się i po prostu poszedł za nią ze zwiśającym ogonem, ciężkim od brudu i takim samym łbem. Tego wieczora pokryty maziami chłopak, który miał na imię Szymon i był dziennikarzem, czego dowiedziałem się przy tej okazji, pomógł mi wykapać Omegę. Szymon gadał bez przerwy, skacząc z tematu na temat, od wywiadu, który robił ze znaną pisarką, Ewą Niecałą, do rodzajów karm i diety barf, o której nigdy nie słyszałem, a jego pies preferował dietę barf i lubił audiobooki, najczęściej słuchali ich razem w aucie. „Pan sobie wyobraża?” Nie wyobrażałem sobie. Dawno temu przestałem wyobrażać sobie cokolwiek.

Ku mojemu zdziwieniu Omega poddawał się zabiegom higienicznym w ciszy, przykrywając cieknące oczy, raczej chyba zrezygnowany niż wdzięczny, i może też odurzony słowotokiem Szymona, który tłumaczył mi, że jak nie barf, to domowe gotowane jedzenie, może lepsze dla starego psa w stanie Omegi, tylko żadnego pora, cebuli i rodzynek. No i winogrona, winogrona też zabronione, tak samo jak czekolada. Obcięliśmy mu największe kołtuny pod pachami i koło ogona, zalewając przy tej okazji całą łazienkę brunatną wodą, pełną kłaków i śmieci. Ale powinienem zacząć od tego, że najpierw wyjąłem z pawlacza swoją skrzyneczkę

z narzędziami i zdjąłem żelazną obręcz, i choć poczułem ulgę, którą z pewnością podzielał Omega, wiedziałem już, że to dopiero początek. Rano wyszedłem sam, wieczorem miałem w domu chorego psa wielkości kuczka. Tej pierwszej wspólnej nocy nie mogłem zasnąć. Co rusz wstawałem i patrzyłem na Omegę, leżącą pod drzwiami, a on wtedy rozplaszczal się, jakby chciał zająć jak najmniej miejsca.

Pierwszy z czterech zegarek po ojcu, też zegarmistrz, piękny złoty Tissot, wystarczył na najpilniejsze potrzeby Omegi. Weterynarz, szczepienia, posłanie, porządna obroża, miski, gryzaki, grzebień ze stali nierdzewnej w cenie, o jaką nie podejrzewałem



grzebienia. Potem przyszedł czas na Doxę i dwa Atlantiki. Trzeba było Omedze usunąć pięć zębów, ale chociaż psi dentysta nie pytał jak ludzki, czy chce je wyleczyć, to zabieg i tak kosztował równowartość mojej emerytury, nie licząc nerwów, że pacjent nie wybudzi się z narkozy. Omega obudził się mętny i opuchnięty, ale po paru dniach jadł bez bólu, a jego ciemnobrązowe oczy odzyskały czystość i blask. Ogromne legowisko w elegancką kratę zignorował za to zupełnie, mimo moich poglądowych demonstracji, że „patrz, jakie wygodne, nawet człowiek się mieści”. Przez pierwsze tygodnie kładł się przy drzwiach, a najmniejszy hałas sprawiał, że zrywał się na chude nogi i drżał, szarpany lękiem, którego istoty mogłem się tylko domyślać. Po jakimś czasie zmienił miejsce i obudziłem się któregoś poranka z jego mordą przy twarzy. Odtąd spał na dywanie przy łóżku, ale przed zaśnięciem

i po przebudzeniu kładł wielki łeb koło mojej poduszki, patrząc na mnie z niepokojącą intensywnością. Najbardziej smakowało mu gotowane mięso z warzywami pokrojonymi jak do zupy, której postną wersję gotowałem dla siebie na trzy dni. Jego przysmakiem były lekko słodkie precele z nowego ukraińskiego sklepu i surowe jabłka, duże, soczyste ligole, które kroilem na plasterki, jeden dla mnie, dwa dla niego. Omega przytył prawie dwadzieścia kilo, ja schudłem dwa. Sprzedałem w lombardzie sygnet po ojcu i jesienny pejzaż nieznanego autorstwa, po którym został jaśniejszy ślad na tapecie. Kilka razy słyszałem: „on już pana przerósł”, „niech pan trzyma to bydłę”, „co to za rasa?”, „czy to kaukaz?”, „mogę pogłaskać?”, „tu nie wolno z psami”. Raz, czy go sprzedam do pilnowania jakichś magazynów. Chodziliśmy na dwa długie spacery dziennie, krótszy, poranny po osiedlu i ten najlepszy, wieczorny, do Lasu Kabackiego, od którego dzieliło nas pół godziny marszu przez Ursynów. Tam spuszczałem Omegę ze smyczy, a on szedł koło mnie, nie oddalając się dalej niż metr od ścieżki, by zrobić kupę w krzakach. Nigdy nie załatwiał się na ścieżce, zawsze odchodził w ustronne miejsce i tam przykucał z miną, która mnie rozśmieszała. Załatwiał się i patrzył mi w oczy. Kiedy skończył, mówiłem: „Brawo, dobry pies”. Ruszaliśmy dalej i Omega co rusz trącał mnie nosem, upewniając się, że jestem jego człowiekiem, a on jest moim psem. Jego wielkie ciało parowało na zimnie jak gar ziemniaków, za którymi nie przepadał, ale polane olejem, rozbełtane z jajkiem zjadał z łaski. Tej zimy przed świętami zacząłem organizować mu mięso. Tak to nazywałem, organizacją mięsa.

Uwielbiał śnieg – w przeciwieństwie do mnie, bo całe życie szybko marzłem, a na starość jeszcze szybciej. Ale w sumie nie wiem, czy nadal nie lubiełem zimy, bo mimo że jak zawsze grabiały mi ręce i stopy, to widok czystej bieli i psa, hasającego w niej ze śnieżnymi koralami wokół szyi i tyłka napawał mnie zapomnianą radością i jakby ulgą, podszytą lękiem, lecz tak, najbardziej ulgą, że nie wszystko poszło na marne. Tak o tym myślałem. Nie wszystko poszło na marne. A mięso temu psu się należało jak mało komu. Sam nigdy go nie jadłem, co to, to nie, nie przeszłoby mi przez gardło.

Organizowałem je dla Omegi. Jeśli nie zasługuje na nie pies, który tyle przeszedł, to kto?

Tamtego wieczora padał gęsty śnieg, a mróz skuł wodę spływającą z dachu w lśniące, twarde stalaktyty. Straszono, że nadchodzi Bestia ze Wschodu. Gdyby nie Omega, nic nie skłoniłoby mnie do wyjścia z domu i nawet przez chwilę rozważałem, czy nie wyprowadzić go tylko na osiedlowy trawnik, ale kiedy otworzyłem bramę, a on pociągnął mnie i z zachwytem podniósł pysk do nieba, olśniony jego lodowatą twardością, zmieniłem zdanie. Osiedle było opustoszałe, nieliczni przechodnie przemykali pokropkowani śniegiem, czasem ciemna kreska smyczy łączyła ich z psem, ale zaraz znikali w bramach domów. Omega popatrzył na mnie, miał śnieg na rzęsach i wydał mi się niewiarygodnie piękny z tą lśniącą grzywą wokół ogromnej głowy, lekko oślinionym pyskiem, który zrobił się nieszczelny po usunięciu zepsutych zębów. „Wygram w totka i zrobimy sobie implanty” – powiedziałem do psa, a on uśmiechnął się do mnie, bo teraz już wiedziałem, że ten dziwny grymas, którym obdarzył mnie pod drzewem parę miesięcy temu, był właśnie uśmiechem. Po raniu na jego karku nie było śladu i tylko gdy rozgarniałem gęstą, zdrową sierść, widziałem różową bliznę. Doszliśmy do lasu, niebo pociemniało, a śnieg sypał coraz obficie. Mimo zimna czułem się pełen wigoru i w osobliwy sposób obdarzony, choć nie licząc wciąż leżącego na pawlaczu obrazu ze sztucznej skóry, nie dostałem w życiu na tyle wielu prezentów, by dobrze znać to uczucie. Towarzyszył mi pies, dla którego zorganizowałem dziś osiemdziesiąt deko gulaszu z indyka, co w połączeniu z warzywami i ryżem dało ponad półtora kilograma solidnej karmy podlanej olejem rzepakowym. Szliśmy ścieżką zasypaną świeżym puchem i nasze ślady były pierwszymi, które się na nim odcisnęły. Jakbyśmy byli z Omegą jedynymi osobami na świecie, dopiero stworzonym i niezepsutym. Ani matki bojące się o dzieci, ani nerwowi biegacze i rowerzyści nie stali nam na drodze. Omega parł do przodu, od czasu do czasu padając w śnieg, by wygrzyźć kulki lodu formujące się między poduszkami jego wielkich łap. Wyglądał wtedy jak ogromny szczeniak. „Co, znów się popsuly łapy?” – mówiłem do niego, bo mieliśmy już

wspólny język, a to nie zdarzyło mi się od dawna z inną żywą istotą.

Robiłem się zmęczony, bo nigdy nie cieszyłem się dobrą kondycją i nawet w młodości nie uprawiałem żadnych sportów oprócz szachów. Chciałem jednak, by Omega nacieszył się tym wyjątkowym spacerem w pierwszym wielkim śniegu, jaki widzieliśmy razem. Dzięki niemu znałem ten las już na pamięć. Ścieżka, którą teraz szliśmy, prowadziła do polany piknikowej; zwykle ją omijaliśmy, bo było tam za dużo ludzi, ale dziś Omegę coś ciągnęło w kierunku tej otwartej przestrzeni, latem spowitej dymem grillowym, ale w najzimniejszy wieczór tej zimy na pewno pustej. Szedł coraz szybciej, podekscytowany, wcześniej pomyślałbym, że chodzi o zwierzę, ale widziałem już jego



łagodną obojętność wobec saren, dzików i zajęcy. Omega nie ruszał za nimi w pogoń jak inne psy, lecz zatrzymywał się i przysiadł gwałtownie, jakby miał dostać smaczek, wpatrzony w inne zwierzęce życie z człowieczym zadziwieniem. Teraz niespodziewanie przyspieszył, co rusz unosił głowę, a jego wielki nos, delikatna, wilgotna trufła, drgał, łapiąc jakiś trop. Dreptałem za nim w białym puchu, błogosławiąc dzień, w którym Szymon podarował mi swoje prawie nowe buty trekkingowe, tłumacząc, że z nich wyrósł, bo czasem tak się dzieje przy intensywnych treningach na siłowni, że stopy też rosną. Polana otworzyła się przed nami nieskazitelnie biała i lśniąca jak mała, bezludna planeta, i to Omega pierwszy zauważył szarą skazę w krajobrazie, ruszając w jej kierunku z szybkością młodzieniaszka. Ledwo

widoczna bruzda, szary paproch w doskonałej bieli, do którego mój wielki pies dotarł przede mną, co obwieścił alarmującym szczeknięciem, jakiego nigdy wcześniej u niego nie słyszałem. Na co dzień był cichy jak kot. Zaczął kopać, delikatnie, ale stanowczo, skupiony odgarniał śnieg z szarego kształtu, który spoczywał pod zamarzniętym na kość niebem i już wiedziałem, co znalazł mój Omega. Ktoś jeszcze oprócz nas trafił tu tego wieczoru.

Dopiero jednak gdy się pochyliłem, w człowieczym kształcie rozpoznałem kobietę. Była drobna i mizerna, jej mała twarz jak zepsuty zegarek, rzadkie jasne włosy w zamarzniętych strąkach. Omega zaczął lizać tę biedną buzię starej maleńkiej, a kobieta po chwili zajęczała cicho i uchyliła usta, by złapać oddech. Coś szeptała, dziecinny wierszyk o cukrowym królu. „Wszystko będzie dobrze” – powiedziałem i podniosłem ją. Okryłem jej drobne ciało swoją jesionką i oparłem ją o pierś psa, od którego była mniejsza i na pewno lżejsza, a on, parując na tym lodowatym pustkowiu, wciąż lizał ją po głowie i twarzy. W jednym z tych dzikich wybuchów umysłu przypomniawszy mi się, jak pewna dziewczyna ponad pół wieku temu powiedziała, że nic z tego, bo jestem wzrostu siedzącego psa, i ten odprysk dawnej tragedii nagle wydał mi się komiczny. Omega lepiej znał się na pierwszej pomocy, więc zostawiłem to jemu, a sam zadzwoniłem do Szymona i po trzydziestu jeden minutach, które precyzyjnie pokazała moja stara omega, pierwszy i ostatni z zegarków mojego życia, na polanie wylądował medyczny helikopter, a półżywą kobietę, mnie i mojego psa oświetlił jaskrawy blask reflektorów.



Więcej opowiadań przeczytasz lub wysłuchasz na [magazynpismo.pl/proza](https://magazynpismo.pl/proza)

Prozę w „Piśmie”  
wspiera Miasto Gdynia,  
sponsor Nagrody  
Literackiej GDYNIA

NAGRODA  
LITERACKA  
GDYNIA

POEZJA

# wulkan

AGLAJA JANCZAK

—

matka od kilku dni śledzi wulkan  
w nocy boi się zamknąć oczy bo wtedy wulkan  
się rozleje

matka obserwuje ludzi którzy do niego idą  
i całe szczęście że nie może iść z nimi  
już widzę jak zagradzałyby drogę innym  
żeby być pierwsza  
dobrze że nie może

nie obchodzą jej inni ludzie  
matka chce być jego jedyną piastunką  
śpiewa mu czułą kołysankę od której on wydaje  
dziwne bełkotliwe pomruki a ona chce pogłaskać tę  
ułomną nierozumianą przez nikogo i odtrącaną bestię  
przemawia do niego próbuje go rozbawić odstawiając  
jednoosobowy performance

na szczęście moja matka nie może tam teraz być  
siedzi przed ekranem z relacją live  
i kiedy jej oczy zamykają się ze zmęczenia  
komin wulkanu

pęka

AGLAJA  
JANCZAK

(ur. 1977), poetka, księgarka, redaktorka. Debiutowała w „Toposie” w 2007 roku. Jest laureatką kilkunastu konkursów i turniejów poetyckich. Drukowana w czasopismach literackich (np. „Autograf”, „Lampa”, „Bliza”) jako Joanna Herman. Autorka tekstów piosenek do spektakli teatralnych dla dzieci, epizodystka filmowa. Jej debiutancki tom *cechy wspólne* ukazał się w październiku 2023 roku.

# Jak trwoga, to do sióstr

z SANDRĄ FRYDRYSIAK i MARTĄ MAJCHRZAK

rozmawiają KATARZYNA KAZIMIEROWSKA i ZUZANNA KOWALCZYK

SIOSTRZEŃSTWO TO SOJUSZ strategiczny, który wychodzi daleko poza relacje prywatne, jak przyjaźnie czy więzi rodzinne. Możemy być w siostrzeństwie nie tylko z tymi, które są w naszych koleżeńskich kręgach, lecz także z tymi, z którymi nie łączy nas żadna prywatna relacja, a być może różni nas wiele.

**Zuzanna Kowalczyk:** Przed naszym spotkaniem zastanawiałam się, jak możemy stworzyć atmosferę siostrzeństwa do rozmowy o siostrzeństwie. Ale ta aura zaufania i otwartości wytworzyła się samoistnie, jeszcze zanim włączyliśmy dyktafon. Nie znając się dobrze, zaczęłyśmy rozmawiać o bliskich nam wątkach związanych z ciałem, relacjami, seksualnością. To zasługa współdzielenia bańki czy w ogóle kobiecych doświadczeń?

**Sandra Frydrysiak:** Sama wspólnota doświadczeń ma szansę wytworzyć siostrzeństwo, ale nie w każdej grupie czy bańce jesteśmy nawykłe do tego siostrzanego odruchu. Siostrzanego, czyli nastawionego na budowanie wspólnoty, porozumienia i solidarności pomiędzy kobietami, niezależnie od stopnia pokrewieństwa czy dzielących nas podziałów. Źródłem siostrzeństwa jest więc zauważenie właśnie tego, co wspólne (a co niestety łączy się często z przeżywaną wspólnie opresją w różnych sferach życia), by wzmacniać wzajemne wsparcie pomiędzy kobietami. To poniekąd odpowiedź na braki, jakie zaserwowała nam umoczona w patriarchacie kultura. Jeśli nie będziemy się ze sobą dzielić kobiecymi

doświadczeniami, pozostaną one nieobecne i niewidoczne, nie przebiją się do debaty publicznej i nie przełożą na żadną zmianę systemową.

**Marta Majchrzak:** A zmiany ogromnie potrzebujemy. I my, dorosłe kobiety, i nasze córki, i młodsze koleżanki. Razem z Magdą Korczyńską, autorką projektu „Jak wychowywać dziewczynki?”, prowadzimy w szkołach warsztaty, na których co rusz słyszymy o sytuacjach, gdy już bardzo młode dziewczyny, w trzeciej, czwartej klasie szkoły podstawowej, stosują wobec siebie przemoc psychiczną, wzajemnie się wykluczają, tworzą nieprzyjemną atmosferę względem innych dziewczynek w dużo większym stopniu, niż dzieje się to między chłopcami. To naprawdę utwierdza mnie w przekonaniu, że badanie i propagowanie siostrzeństwa jest ważne i potrzebne. Bez oddolnej zmiany będziemy dalej patrzeć na inne kobiety nie jak na sojuszniczki, ale jak na zagrożenie, a rywalizacja, do której przyuczył nas system, nigdy się nie skończy. Tymczasem proponując warsztaty z siostrzeństwa dla młodych dziewczyn w szkołach, wciąż najczęściej spotykamy się ze wzruszeniem ramion.

**Katarzyna Kazimierowska:** Jak myślicie, dlaczego tak jest?

**S.F.:** To wynik bagatelizowania problemu braku siostrzeństwa. Stopniowo zaczynamy jednak obserwować zmianę myślenia o tym, jakie korzyści w wymiarze systemowym może przynieść solidarność kobiet, przykładowo w biznesie. Kierownictwa niektórych firm powoli dostrzegają, że atmosfera pracy oparta na współpracy, empatii i wzajemnym wspieraniu swojego poczucia wartości jest o wiele skuteczniejsza i sprzyjająca rozwojowi

**SANDRA FRYDRYSIAK**

(ur. 1985),  
doktorka nauk humanistycznych, kulturoznawczyni i socjolożka. Pracuje na Uniwersytecie SWPS w Warszawie oraz na Uniwersytecie Łódzkim. Realizuje m.in. badania społecznego wpływu smartdomów. Jest członkinią sieci EuroGender (w ramach Europejskiego Instytutu ds. Równości Płci), prowadzi szkolenia z zakresu diversity, equity & inclusion.



rysunek OLA NIEPSUJ



niż system wspomagający rywalizację, rozpychanie się łokciami i indywidualistyczny wyścig po zasługi.

**Z.K.: Tylko czym to siostrzeństwo w biznesie mogłoby być w praktyce? Jak dokonać tej zmiany, by nie była tylko deklaratywna?**

**M.M.:** Wolabym mówić o siostrzeństwie w miejscu pracy, a nie w biznesie, bo mam poczucie, że to pierwsze dotyczy znacznie większej grupy kobiet. Taka pracownicza praktyka siostrzeństwa jest kobietom bardzo potrzebna, choć często nie zdajemy sobie z tego sprawy. Oddolne naciski, które mogłybyśmy wywierać na organizacje, żeby walczyć z takimi zjawiskami, jak luka płacowa, szklany sufit [ograniczanie awansu kobiet na wyższe stanowiska związane z zarządzaniem – przyp. red.] czy lepka podłoga [przewaga kobiet w niskopłatnych zawodach – przyp. red.], nigdy nie będą miały mocy sprawczej bez prawdziwego sojuszu między nami. Smutno jest obserwować, jak kobiety samotnie walczą o swoje. Z drugiej strony, od wielu organizacji, z którymi współpracuję jako badaczka lub edukatorka, słyszę, że działy HR same zauważają problem braku siostrzeństwa między kobietami – wyniszczającą rywalizację albo po prostu trudności we współpracy – i zgłaszają się do mnie po pomoc. To ważne, bo siostrzeństwo w miejscu pracy potrzebuje wsparcia systemowego, mechanizmów zaprojektowanych wedle potrzeb danej organizacji, w długofalowej perspektywie. Zazwyczaj zaczyna się od zauważenia, że organizacja traci na braku sojuszniczenia się kobiet.

**S.F.:** Istnieje wiele organizacji kobiecych, których celem jest budowanie sprawiedliwszego i zapewniającego równość środowiska pracy, na przykład Sieć Przedsiębiorczych Kobiet. Promują one nie tylko wspieranie kobiet, ale też wspieranie się kobiet nawzajem w kontekście kultury pracy, stylów zarządzania i hierarchii zawodowej, które są efektem stereotypów przypisywanych kobietom w kulturach patriarchalnych. Mowa tu o wspomnianym szklanym suficie, a także o szklanym klifie [konieczności nadmiernego udowadniania, że zasłużyło się na awans – przyp. red.] czy szklanych ruchomych schodach [uprzywilejowanej pozycji mężczyzn w zarządzaniu w zawodach tradycyjnie uważanych za kobiece – przyp. red.].

**Z.K.:** A to chyba szczególnie istotne, bo jak wyszło z wszystkich badań z 2021 roku, opisanych w raporcie *Siostrzeństwo – od idei do praktyki*, jedynie 44 procent ankietowanych stwierdziło, że kobiety w Polsce wspierają się w pracy i nie dyskryminują innych kobiet w drodze do awansu i rozwoju. Podcinanie skrzydeł młodszym koleżankom, które pną się w rozwoju zawodowym, to częste zjawisko, gdy odbiera się awans współpracownicy jako zagrożenie, a nie przestrzeń do wsparcia zarówno jej, jak i wspólnych interesów.



**MARTA MAJCHRZAK** (ur. 1978), psycholożka społeczna i badaczka, właścicielka pracowni badawczej Herstories. Prowadzi badania marketingowe i społeczne. Pracuje zarówno dla dużych organizacji jak Deloitte, BBC Polska, jak i małych NGO-sów. Inicjatorka i współautorka pierwszego w Polsce badania o siostrzeństwie. Edukuje prowadząc warsztaty, szkolenia i webinary w takiej tematyce jak siostrzeństwo, DEI, pinkwashing, język inkluzywny.

**M.M.:** Tak, choć to dyskryminowanie sięga o wiele głębiej. Socjalizowane w domu i instytucjach oświatowo-wychowawczych do surowej samooceny, równie surowo oceniamy inne kobiety. I nie chodzi tylko o klasę społeczną czy kompetencje, ale także o tak podstawowe kwestie, jak choćby wygląd. Której z nas nie zdarzyło się ocenić w myślach innej kobiety tylko dlatego, że miała sztuczne rzęsy czy tipsy? A przecież tak długo, jak pielęgnujemy w sobie uprzedzenia, podtrzymujemy ten opresyjny, oceniający nas po wyglądzie system.

**S.F.:** To ważne, żeby zrozumieć, że brak siostrzeństwa jest jednocześnie konsekwencją i wsparciem systemu wykluczającego kobiety. W miejscach pracy są to choćby takie kwestie, jak o wiele większa trudność kobiet w networkingu, negocjowaniu pensji czy ubieganiu się o awans.

**Z.K.:** A kultura korporacyjna premiuje właśnie takie umiejętności i postawy.

**M.M.:** Z badań wyszło nam na przykład, że kobiety o wiele częściej niż mężczyźni krepują się wyjść na przerwę lunchową w pracy, bo obawiają się negatywnej oceny kierownictwa i zespołu. W badaniu, które moja pracownia badawcza Herstories zrobiła dla firmy Edenred, tylko 56 procent kobiet uważa, że pracodawca akceptuje wychodzenie z biura na lunch, podczas gdy takie samo zdanie ma 64 procent mężczyzn. O 6 procent kobiet więcej niż mężczyzn sądzi wręcz, że pracodawca irytuje się przerwami na posiłki, aż 45 procent kobiet jest też zdania, że pracownicy po prostu nie mogą wychodzić z pracy na posiłek – taką samą opinię wyraża tylko 28 procent mężczyzn. Dlaczego to istotne? Przykładowo, podczas przeprowadzanych przez nas warsztatów w dużej firmie jeden z dwóch panów, którzy zdecydowali się wziąć udział w spotkaniu, przekonywał, że w ramach networkingu wystarczy umawiać się na lunch z różnymi osobami. Nie rozumiał, że taki sposób działania jest dla wielu kobiet trudny w realizacji, bo obciążony lękiem. Ale to, co okazało się naprawdę pomocne, to poruszenie tego tematu na forum, otwarcie przestrzeni do wymiany doświadczeń na tym polu, do usłyszenia „ja też tak mam”. I poszukania wspólnie alternatywy dla tego lunchu.

**S.F.:** Ważna jest rozmowa o dysproporcjach płciowych w możliwościach budowania kariery zawodowej, których networking jest ważną częścią. Kobiety często mają też na przykład znacznie mniej czasu na chadzanie na kolacje i eventy wieczorne, na których poszerza się sieć kontaktów, czy nawet na budowanie swojej marki osobistej w sieci (na portalach do tego przeznaczonych typu LinkedIn) ze względu na swoje zaangażowanie w obowiązki domowe, a w szczególności opiekuńcze. Badania [*Kobiety i mężczyźni w domu* CBOS-u z 2018 roku

– przyp. red.] pokazują, że odsetek gospodarstw domowych heteroseksualnych par, w których wyłącznie na mężczyźnie spoczywa opieka nad dziećmi czy opieka nad osobami z niepełnosprawnością, nie przekracza 3 procent. Aby to zmienić, potrzebne są systemowe zmiany, takie choćby jak wprowadzana ostatnio dyrektywa unijna o *work-life balance*, która ma odnieść się do tych nierówności, ale też tworzenie takich możliwości współpracy czy *networkingu*, by uwzględniały specyficzne potrzeby kobiet – choćby zapewnienie opieki nad dziećmi w trakcie spotkania branżowego.

**K.K.:** Kobiety i mężczyźni nie tylko w odmienny sposób rozwijają się zawodowo, ale też w różny sposób rywalizują. Badania pokazują, że u chłopców stawką częściej są zasoby, a u dziewcząt – uwaga związana z relacjami.

**M.M.:** Zobaczcie, jak różne przekazy formułujemy dla chłopców i dziewczynek. W męskim świecie często mówi się o tym, jak ważne jest trzymanie sztamy między facetami, a u dziewczynek to nierzadko opowieść o tym, że warto mieć jedną, góra kilka przyjaciółek i tworzyć swoje enklawy. Nie ma tu rozmowy o siostrzeństwie w równym stopniu jak o braterstwie.

**S.F.:** A do tego dochodzą takie komunikaty, jakie często serwowały nam nasze matki: „Uważaj, twoja przyjaciółka może być twoim najgorszym wrogiem”, „Nikt ci tak nie wbije noża w plecy jak najlepsza kumpela”, „Uważaj na inne kobiety, bo mogą odebrać ci partnera”. I właśnie takie obawy ze strony kobiet wychodziły nam w badaniach jakościowych. Łącznie z poczuciem zagrożenia, jakie na początku pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę wywołało u części Polek pojawienie się w naszych miastach Ukrainek. Rywalizacja o relacje w kontekście kobiet heteroseksualnych dotyczy również relacji z mężczyznami, konkurencji na tak zwanym rynku matrymonialnym, na którym kobietom, zwłaszcza w dużych miastach, jest trudniej.

**K.K.:** Ale skąd się biorą te lęki, skoro dotyczą już małych dziewczynek? Czy to poczucie zagrożenia ze strony innych kobiet wysysamy z mlekiem matki?

**S.F.:** Bo bazujemy nie tylko na własnych doświadczeniach, lecz także na doświadczeniach innych kobiet, na przykład naszych matek. A te były i są kształtowane przez system, któremu jest na rękę nastawianie kobiet przeciwko sobie.

**Z.K.:** Mona Chollet w książce *Czarownice. Niezwyciężona siła kobiet* pisze o tym, że czas polowania na czarownice i palenia ich na stosach był okresem rozpoznania tego, jak bardzo zagrażające systemowi jest wybijanie się kobiet na samodzielność i niezależność: ich zainteresowanie nauką czy definiowanie siebie nie poprzez

relacje z mężczyznami. Renata Lis opisała ten mechanizm w książce *Moja ukochana i ja we współczesnym kontekście* słowami: „Dbanie o jak najdokładniejsze oddzielenie kobiet od siebie nawzajem jest podstawowym zadaniem patriarchy”.

**S.F.:** I to prawda. Doświadczenia antysiostrzeńskie są faktem, ale musimy pamiętać, że mają one bardzo konkretny kontekst kulturowy.

**M.M.:** Kontekst, w którym rywalizacja między kobietami jest przez patriarchalny system podsycana i wspierana, bo dzięki temu można łatwiej sprawować nad nimi zewnętrzny nadzór, spychać je z pola widzenia, przywiązywać do ról głównie domowych, opiekuńczych.

**Z.K.:** Bo jako kobiety jesteśmy socjalizowane do relacji – do ich budowania, ale też określania się za ich pośrednictwem. Kobięce bohaterki w kulturze to głównie matki, córki, żony, kochanki – role określone w relacji do innych. A Chollet w *Czarownicach* pisze, że „pośród oskarżonych o czary widać wyraźnie nadreprezentację kobiet niezamężnych i wdów, czyli wszystkich tych, które nie były bezpośrednio podporządkowane żadnemu mężczyźnie” (przeł. Sławomir Królak). Kobieta bez mężczyzny to zagrożenie.

**M.M.:** To prawda, kobiety w kulturze od zawsze były przedstawiane przede wszystkim jako karmicielki, matki, opiekunki. Nasza rola była jasno określona i w tym określeniu dość ciasna. Nic dziwnego więc, że próbując odwrócić tę narrację – wprowadzić do głównego nurtu opowieść nie tylko o heteroseksualnych relacjach z mężczyznami, ale też właśnie o siostrzeństwie, a więc o relacji kobiet z innymi kobietami jako o czymś wspierającym i nastawionym na wspólnotę doświadczeń – napotykałyśmy opór. Przecież na drodze stoją nam całe wieki zupełnie odmiennej historii.

**S.F.:** Przekazy kultury popularnej są na przykład pełne reprezentacji kobiet, które prześcigają się między sobą w dbaniu o wygląd, by zdobyć względy mężczyzn. Taki obraz jest w nas głęboko zakorzeniony. Tymczasem mamy dziś wiele wspaniałych przykładów siostrzeństwa w praktyce, o których musimy zacząć sobie opowiadać. Przy okazji wojny w Ukrainie powstały choćby takie inicjatywy, jak projekt „Sestry” [międzynarodowy magazyn oddający głos ukraińskim uchodźczyniom – przyp. red.] czy „Martynka” [bot na Telegramie wspierający kobiety w bezpiecznej ucieczce z Ukrainy – przyp. red.].

**K.K.:** Już w 2014 roku powstała na Facebooku grupa „Dziewoczki w Warszawie”, na której kobiety z Ukrainy wymieniały się doświadczeniami i pomagały sobie nawzajem w znalezieniu pracy, mieszkania czy opieki do dzieci.

**M.M.:** Właśnie. Chcąc przebić bańkę, nie musimy odwracać się od tego, co w dotychczasowej opowieści

Przekazy kultury popularnej są pełne reprezentacji kobiet, które prześcigają się między sobą w dbaniu o wygląd, by zdobyć względy mężczyzn.